



Mirosław Derecki

SKĄD TA PASJA DO SZTUKI?

ROZMOWA Z KOLEKCJONEREM JÓZEFEM MIŁOSZEM

- Zorganizowana latem przez Muzeum Nadwiślańskie w Kazimierzu Dolnym wystawa „Malarstwo, grafika, rysunek - w zbiorach Józefa Miłosza” była nie tylko miejscowym wydarzeniem kulturalnym, ale także zaskoczeniem dla wielu miłośników sztuki, malarzy, kolekcjonerów.

- Właśnie, nawet dla tych ostatnich!

- Od lat znano tutaj pańską pasję gromadzenia dzieł artystów związanych twórczością, lub po prostu sentymentem z Kazimierzem, miastem, w którym pan mieszka i pracuje. Ale nikt nie podejrzewał, że udało się panu zgromadzić aż tak okazały zbiór. Na wystawie w Galerii Letniej eksponowano osiemdziesiąt sześć obrazów olejnych, akwareli, rysunków. Dzieła Zenona Kononowicza, Jana Karmańskiego, Franciszka Kmity, Jana Łazarka, Jerzego Gnatowskiego, Andrzeja Kołodziejka i wielu innych, których zawsze interesował pejzaż kazimierski. Lecz także prace Jacka Baszkowskiego, Tadeusza Maśluszczaka, Tadeusza Dominika, Jana Dobsona-Dobkowskiego, Jacka Siennickiego, Franciszka Starowieyskiego, Henryka Stażewskiego... „Już na pierwszy rzut oka - pisze Waldemar Odorowski we wstępie do katalogu wystawy - widać, że zbiór ten nie ma w sobie nic z przypadkowości, a wrażenie to nie bierze się li tylko ze starannego doboru obiektów, zdradzającego równie duże wyczucie, co znanstwo zbieracza [...]. Kolekcja Miłosza najściślej, jak to możliwe, związana jest z Kazimierzem, ale bynajmniej nie chodzi tu o Kazimierz, jako popularny dziś (aż do granicy banału) „motyw malarski”, ale o Kazimierz jako miejsce, w którym malarstwo się rodzi”.

Skąd u pana wzięła się ta pasja do sztuki, do zbierania obrazów? Bo bardziej oczywiste było zawsze dla mnie pańskie zainteresowanie sztuką filmową, choćby już z uwagi na uprawianą profesję: od lat jest pan kierownikiem kazimierzowskiego kina „Wisła”.

- Oczywiście, kino jest jedną z moich wielkich pasji. Ale proszę nie zapominać, że przede wszystkim od dzieciństwa wzrastałem w niecodziennej „malarskiej” atmosferze Kazimierza, obserwowałem malarzy stojących przy sztalugach na Rynku, na wzgórzach nad

miasteczkiem, w wąwozach. Słuchałem opowieści miejscowych ludzi o latach przedwojennych, kiedy to do Kazimiera nad Wisłą zjeżdżała na plener studencka bracia artystyczna ze swym profesorem Tadeuszem Pruszkowskim na czele.

- Aż się prosi tutaj zacytowanie fragmentu wspomnień Feliksa Topolskiego o tamtych czasach i tamtych plenerach: „Grubas” (prof. Pruszkowski_ kroczy w rejwachu kazimierskiego Rynku. Wielka puca, kapelusisko kowbojskie, śmieszna, tu i ówdzie marszczona marynara, buciska sznurowane po kolana na ogromnych łydach. Za nim trzoda uczniów wcina się kontrastem: w jarmark żydowsko-chłopski: dziewczęta-nimfy w rustykalnych zapaskach, udekorowane wymyślnie kokardami i kwiatami, bosc dryblasy w dziadowskich kapeluszach ze słomy, „nowe” szczeniaki obwieszane, malarskie granaty zapatrzone w mistrza – Grubas kroczy i uczy”. I można by dodać jeszcze zdanie z pięknej książki malarki Ireny Lorentowicz „Oczarowana”: „Wtedy, kiedy Kazimierz nie był jeszcze „turystycznym miasteczkiem”, a w ruinach pasły się kozy, po ścieżkach zaś wędrowali cudowni żebracy-modele – wtedy żył ten wspaniały Pruszkowski i było jego lato, lato Prusza”.

- Tak. Choć dla mnie to już była nieodwracalna przeszłość. Kiedy jako jedenastoletni chłopiec osiedliłem się tutaj w 1945 r. wraz z rodzicami, kazimierskie ruiny pachniały jeszcze niedawnymi wojennymi pożarami. Żydzi zostali wywiezieni do obozów zagłady. Tadeusz Pruszkowski zamordowany przez Niemców, większość jego uczniów rozpieczęła się szeroko po świecie. Spośród tamtej dawnej kazimierskiej cyganeria pozostał w Kazimierzu tylko Antoni Michalak, osiadły w swym domu-pracowni, przylepionym do stromego zbocza u stóp Baszty. Ale żył tutaj także, po wojnie przy ulicy Lubelskiej, inny malarz, Jan Karmański. Przy ul. Senatorskiej miał zaś swoją pracownię Zenon Kononowicz. Chociaż mieszkał na stałe w Lublinie, to właściwie wciąż, wiosną, zimą, latem, jesienią, widziało się go przy sztalugach w Kazimierzu. Latem przyjeżdżał malować do Kazimierza inny lubelski artysta, Władysław Filipiak. Przyglądałem się, jak kładł na płótno farby, choć nie mniej fascynowała mnie piękna „Baba Jaga”, jacht, który sam zbudował i którym pływał wraz z żoną po Wiśle... Później, na początku lat pięćdziesiątych, osiadł w Kazimierzu niedawny absolwent warszawskiej ASP, Franciszek Kmita, z którym mieliśmy się wkrótce szczerze zaprzyjaźnić.

- To Kmita zachęcił pana do zbierania obrazów?

- Na pewno miał on niemały udział w rozbudzeniu we mnie zainteresowania sztuką, której od dzieciństwa z taką fascynacją się przyglądałem. I zresztą właśnie od olejnego pejzażu Kazimierza pędzła Franciszka Kmity, którego posiadaczem stałem się w roku 1960, zaczęła się moja przygoda kolekcjonerska. A dopiero w rok później zostałem kierownikiem kina „Wisła”. Kina, mieszczącego się w odrestaurowanym i adoptowanym na ten cel według

projektów Karola Sicińskiego budynku dawnej żydowskiej synagogi zniszczonej przez Niemców.

- Pańska kolekcja powstawała w ciągu lat bez mała trzydziestu. W jaki sposób dochodzi się do takiego zbioru, nie dysponując przecież jakimiś szczególnie znaczącymi sumami pieniędzy? Kierownicy kin nie są, jak wiadomo, ludźmi przesadnie majątnymi...

- Po prostu trzeba, mieć do takich spraw naprawdę dużo serca, a i niemało cierpliwości. Trzeba bardzo lubić tę swoją pasję. Życ ją.

- „Kolekcjonowanie obrazów jest dla niego (Miłosza) formą uczestnictwa w tym specyficznym rodzaju myślenia, odczuwania i działania, dzięki którym powstaje dzieło sztuki. Toteż jego kolekcjonowanie trudno niekiedy oddzielić od działalności nazywanej zazwyczaj mecenatem. Dla Miłosza ważny jest przede wszystkim artysta, którego stara się poznać, by wniknąć i zrozumieć wewnętrzny świat jego sztuki” - napisał o panu Waldemar Odorowski. Czy pan się z tym zgadza?

-Ogólnie rzecz biorąc, tak. Przeważnie nabywałem obrazy od autorów, z którymi jestem zaprzyjaźniony, których lubię i cenię także jako ludzi, a nie tylko artystów. Takich przyjaźni w ciągu minionych trzydziestu lat uzbierało się sporo. Wszystkie zadziergnięte właśnie w wakacyjnym, kazimierskim pejzażu. Najdłuższa jest przyjaźń z Franciszkiem Kmitą, z którym zresztą zwiedziliśmy wspólnie kawałek świata. Bliski mi jest Jasio Łazorek, Andrzej Kołodziejek, Jurek Gnatowski. Bardzo sobie ceniłem uczucie przyjaźni, jakie żywił do mnie Henryk Stażewski, który prawie do końca swego długiego życia przyjeżdżał tutaj każdego lata, zatrzymując się w Domu Architekta.

- W raz ze śmiercią Karmańskiego, Kononowicza, Michałaka, Filipiaka odplłynął ostatecznie w przeszłość dawny „malarski Kaźmierz”.

- Zgoda. Ale zapełnia go dzisiaj kolejna generacja malarzy. I to tych osiadłych tu na stałe lub prawie na stałe, bo pobudowali sobie w Kazimierzu domy-pracownie. Tutaj żyją i tworzą przez większą część roku. Prawie każdy z miłośników Kazimierza wie w którym miejscu wznosi się przy ul. Lubelskiej kamieniczka budowana od lat z samozaparciem przez Franciszka Kmitę. Na przedmieściu Doły ma dom i pracownie Jan Łazorek, a w jego sąsiedztwie - para warszawskich artystów, Anna i Janusz Olszewscy. Osiedlił się w Kazimierzu na stałe akwarelista Zbigniew Szczepanek. Po skończeniu studiów na ASP powrócili do rodzinnego miasta Andrzej Siemiński i młody grafik Turczyński. Na przedmieściu Góry postawił zabytkowy wiatrak, przerobiony na dom mieszkalny - Jacek Baszkowski. W niedalekiej, wchodzącej w skład Kazimierza wsi Rzeczyca, ma letni Andrzej Kołodziejek...

- I jeszcze, w Mięćmierzu, powoli ale konsekwentnie wznosi dom Marion Gryta, malarz, a przy tym zapalony żeglarz i lotniarz.

- Nie zapominajmy, że w ostatnich latach powstało także w Kaźmierzu kilka galerii plastycznych, zajmujących się sprzedażą dzieł sztuki: sklep-galeria inż. arch. Waldemara Doraczyńskiego w Rynku, autorska galeria Jana Łazorka, mieszcząca stać w kazimierskim Zamku; przez kilka lat egzystowała także prywatna galeria masarska w Starych Jatkach na Małym Rynku, ale od pewnego czasu zawiesiła swoją działalność.

- Czy Kazimierz nie stracił jednak w ostatnich czasach swego dawnego artystycznego charakteru, mimo że tak wielu tu się artystów osiedla i tylu ich latem tutaj przyjeżdża? Czy nie zwraca się tu teraz więcej uwagi na zarobek, na dochód, na malowanie „pod klienta”? Aż się roi na kazimierskim Rynku w każdą sobotę i niedzielę od malarzy-amatorów, eksponujących swoje prace. W dawniejszych czasach oferowali swe akwarele czy rysunki najczęściej studenci malarstwa lub architektury, przyjeżdżający tutaj na plener lub przebywający wraz z rodzinami w Domu Architekta i uważający ową sprzedaż za rodzaj zabawy. Dzisiaj zastąpili ich amatorzy, traktujący swoje malarskie hobby całkiem profesjonalnie, dochodowo.

- Ja myślę, że to znak czasu, w jakim żyjemy i tego się nie uniknie.

- Ile dzisiaj trzeba zapłacić w Kazimierzu za obraz tutejszego „uznanego artysty”? Podobno taki kazimierski pejzaż ceni się od sześćdziesięciu do ponad stu tysięcy złotych?

- Wie pan, trudno to dokładnie określić. Bo przecież cena obrazu zależy i od jego tematu, i od walorów artystycznych uznawanych przez samego kupującego. Także - niejednokrotnie - od wielkości obrazu. I nawet od humoru, jaki ma twórca danego dnia. A jeszcze: inne ceny są dla przyjaciół, inne dla kolekcjonerów, jeszcze inne dla przygodnych amatorów sztuki. Zresztą, jeśli chodzi o ceny, to ani wśród malarzy, ani wśród kolekcjonerów nie zwykło się mówić publicznie na ten temat, więc i ja zmilczę.

- A jeśli chodzi o ceny obrazów jakich żądają malarze-amatorzy na kazimierskim Rynku?

- Żądają za swoje prace zazwyczaj od sześciu tysięcy w górę. Niektórzy życzą sobie nawet za obraz kilkadziesiąt tysięcy. Ale to są sumy zrodzone z imaginacji i przeważnie bez realnej nadziei na ich osiągnięcie.

- Czy istotnie jest wśród społeczeństwa tak wielki popyt na obrazy, na kupowanie oryginalnych dzieł sztuki, jak to się uważa?

- Tak. Moda na kupowanie obrazów zaczęła się w latach siedemdziesiątych i trwa do dzisiaj. Najlepiej można się o tym przekonać właśnie przyjeżdżając do Kazimierza.

- Skąd to zainteresowanie, ta moda? Chodzi ludziom o „lokatę kapitału”? Bo przecież niektórzy inwestują w obrazy całkiem poważne sumy.

- Na pewno niejeden uważa kupowanie obrazów za zabezpieczenie własnych oszczędności. Chociaż, jeśli chodzi o sztukę, to trzeba dobrze się na niej znać, żeby przewidzieć, co się w przyszłości opłaci, a co nie. Wiele osób nabywa obrazy ze snobizmu. Ale też coraz więcej osób dlatego, że obraz im się po prostu podoba i chcą go mieć na własność, stale z nim obcować. Najbardziej jednak charakterystyczne dla obecnego czasu jest to, że potrzebę kupowania obrazów odczuwają bardzo różni ludzie. Niezależnie od wykształcenia, wykonywanego zawodu, przynależności socjalnej lub wysokości zarobków.

Ja, na przykład kupuje i gromadzę obrazy, żeby wśród nich żyć.

Pierwodruk: „Kamena”, 1988, nr 18 s. 12.